

MACIEJ WOJTYSZKO

Bromba i inni

Szanowni Czytelnicy!

Zdaję sobie sprawę, że przekazując w Wasze ręce kilka opowiadań poświęconych istotom niezwykłym i rzadko widywanym, mogę się narazić na zarzuty.

Możecie mieć do mnie pretensję, że Wy, osobiście, nigdy nie .spotkaliście Fuma lub Psztymucla, nie mówiąc już o Gźdaczu czy Pciuchu.

Sądzę jednak, że lepiej jest dowiedzieć się czegoś z książki niż nie wiedzieć o tym wcale.

Zresztą to, co zostało Nazwane przestaje być Nieznane.

I odwrotnie.

Pragnę Was zapewnić, drodzy Czytelnicy, że i Wy sami czulibyście się bardzo niedobrze, gdybyście nie byli Nazwani.

Mam nadzieję, że dzięki memu wyjaśnieniu zrozumieliście konieczność powstania tych opowiadań.

Z wyrazami szacunku Autor

Pciuch

Pciuch zamieszkuje Czas. To znaczy, że można go zobaczyć tylko wtedy, kiedy się żyje kiedy indziej.

Jeża na przykład możemy zobaczyć dziś. Pciucha wyłącznie jutro albo wczoraj. Dzieje się tak dlatego, że jest on szalenie szybkim, nowoczesnym stworzeniem: wyprzedza nasze czasy dzięki własnemu napędowi raketowemu.

Pciuchów jest niewielu, około trzydziestu, a nasza historia opowiada o pewnym dzielnym, młodym Pciuchu, który był posiadaczem numeru dwadzieścia cztery.

Tradycyjnie wszystkie Pciuchy pracują na poczcie, ponieważ tam są najbardziej potrzebne. Także Pciuch dwadzieścia cztery był listonoszem do Spóźnionych Przesyłek.

Zdarza się, że do okienka na poczcie podbiega ktoś bardzo zmęczony od szybkiego biegu i woła już od drzwi:

- Proszę pani, proszę pani, chciałbym szybko wysłać wiadomość!

- Proszę bardzo! - odpowiada pani w okienku. - Tu jest blankiet na telegram super-ekstra błyskawiczny. Na kiedy ma dojść ta wiadomość?

- Na wczoraj - śmieje się ten ktoś z zakłopotaniem. - Zupełnie zapomniałem o imieninach ciotki Patrycji Trąbalskiej, Koszykowa 12 m 5.

- Na wczoraj? - pyta pani w okienku. - Dobrze, zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

I wtedy do akcji naczelnik poczty używa Pciucha do Specjalnych Zadań.

- Pciuch dwadzieścia cztery do mnie! - mówi naczelnik.

- Słucham, panie naczelniku - melduje się Pciuch, ale wcale go nie widać, bo zazwyczaj mówi z jutra albo nawet i z pojutrze.

- Proszę o doręczenie tych serdecznych życzeń!

- Na kiedy, panie naczelniku? - pyta Pciuch dwadzieścia cztery, który jest zawsze bardzo dokładny i zapisuje sobie wszystko w notesie.

- Zaraz - mruczy pan naczelnik - dziś mamy wtorek, wczoraj poniedziałek, no, powiedzmy, na zeszłą sobotę.

- Tak jest - odpowiada Pciuch.

- Dacie radę? - pyta naczelnik.

- Oczywiście, panie naczelniku - odpowiada niezłomny Pciuch dwadzieścia cztery o napędzie raketowym i recytuje z dumą:

Dzięki swej najwyższej klasie
Pciuch wędrować umie w czasie
I niewielkie ma kłopoty,
Idąc z wtorku do soboty.

- A więc liczę na was - oświadcza naczelnik i zajmuje się inną ważną sprawą.

Pciuch dwadzieścia cztery nie był jednak tak doświadczonym listonoszem jak inne starsze Pciuchy, chociażby jego rodzice. Tatuś Pciucha, na przykład, otrzymywał bardzo odpowiedzialne Spóźnione Przesyłki i często zdarzało się, że musiał podróżować rowerem, żeby móc zdążyć w porę.

A młody Pciuch dostał właśnie od tatusia i mamusi hulajnogę. I chociaż rodzice ostrzegali go, żeby nie zabierał hulajnogi do pracy, postanowił spróbować, jak będzie mu szło dostarczanie przesyłek przy pomocy hulajnogi. Wskoczył więc na nią raz - dwa i szybciotko pojechał na ulicę Koszykową 12 mieszkania 5, do ciotki Patrycji Trąbalskiej.

A kiedy już był pod drzwiami, przypomniał sobie, że musi sprawdzić termin przesyłki.

- Na kiedy to ma być? - zapytał sam siebie i zajrzał do notesika.

- Ach, na sobotę! A jaki jest teraz dzień? - Niestety, zupełnie zapomniał, że hulajnoga nie ma takiego licznika jak rower Tatusia.

- To nic - pocieszył się Pciuch - poszukam kogoś, kto mi pomoże.

Na dole siedział pan dozorca.

- Proszę pana - zawołał Pciuch - bardzo przepraszam, jaki jest teraz dzień?

- A kto pyta? - zdziwił się pan dozorca.

- Listonosz Pciuch dwadzieścia cztery!

- A dlaczego pana nie widzę, panie listonoszu?

- Ponieważ ja tu jestem wczoraj! - zawołał Pciuch i wyrecytował:

Dzięki swej najwyższej klasie
Pciuch wędrować umie w czasie
I niewielkie ma kłopoty
Idąc z wtorku do soboty.

- Aha, wspaniale - ucieszył się pan dozorca. - Więc, jeśli u mnie jest wtorek, to u pana jest teraz sobota, panie listonoszu.

- Dziękuję bardzo! Właśnie o sobotę mi chodziło - oświadczył Pciuch i wrzucił

telegram „Z serdecznymi powinszowaniami z okazji imienin ukochanej Cioteczce Patrycji od siostrzeńca Adasia” do skrzynki na listy, zadzwonił do mieszkania i odjechał na hulajnodze.

- Dziwny ten Adaś - mówiła ciocia Patrycja czytając przez okulary telegram. - Przecież do moich imienin jeszcze cały miesiąc, a on już wysyła życzenia super-ekstra błyskawicznie. Bardzo dziwny jest ten mój siostrzeniec. Chociaż to miło dostać tak wcześnie serdeczne życzenia. Od razu widać, że o mnie myśli i że lubi swoją starą ciotkę.

A Pciuch dwadzieścia cztery nigdy się nie dowiedział o swojej pomyłce i o tym, że zjechał hulajnogą miesiąc za wcześnie.

Zresztą nigdy więcej taka pomyłka mu się nie zdarzyła dzięki licznikowi zainstalowanemu przez tatusia przy hulajnodze.

Fumy

Fum turystyczny, czyli inaczej Fum-turysta, a w zdrobnieniu Fumik lub Fumek, rzadziej Fumak - należy do odmiany podróżujących (animal transportera). Największe okazy spotyka się w okolicach dogodnych lub pozornie dogodnych do wycieczek i wczasów.

Fumy chodzą parami albo całymi rodzinami wydając przy tym charakterystyczne fumkanie i cipienie. Fumkanie jest oznaką niezadowole-
nia, natomiast w przypadku zadowolenia zwierzę cipieje.)

Fuma łatwo poznać po tym, że z dziewięciu rąk, jakie posiada, każdą ma czymś zajęta: trzymaniem torby, koca, materaca, ręcznej katarynki, olejku do opalania, plecaka albo liczeniem pieniędzy.

Wszystkie Fumy uważają, że głównym ich zajęciem jest wypoczywanie, w związku z czym usiłują wypoczywać z całych sił i bardzo je to męczy, ale ponieważ jedyną formą działania po zmęczeniu powinno być wypoczywanie, więc znów wypoczywają, co je bardzo męczy, i tak w kółko.

Jednak żaden Fum nie weźmie się do pracy w czasie odpoczynku, bo uważałby to za coś najbardziej niezdrowego.

Fumy nie posiadają specjalnie skomplikowanych obyczajów, czasem śpiewają jednak taką piosenkę:

Fum, fum, fum, fum, fum,
fum, fum, fum, fum, fum!
Do czego to podobne!
Do czego to podobne!
Jesteśmy zawiedzione,
jesteśmy złe i głodne!
Fum, fum, fum, fum, fum!
Fum, fum, fum, fum, fum!
Do czego to podobne!
Do czego to podobne!
Ach, kiedyż wypoczniemy łagodne
i wygodne!

Wcale nie są jednak takie łagodne, ponieważ ciągle wypoczywanie bardzo je rozdrażnia i niepokoi.

Fumy żywią się wyłącznie konserwami i jajkami na twardo. Na drodze ewolucji przednie zęby wysunęły im się do przodu i służą jako klucz do otwierania konserw.

Niestety, jednak do dziś nie wyrobił im się odruch zbierania rozrzuconych skorupki.

Na ogół Fumy wędrują utartymi szlakami turystycznymi, ale zdarzyło się raz, że pewna fumia para zawędrowała przez pomyłkę nad jezioro zwane Jeziorem Bobrów.

- Mężu, mężu - zawołała Fumica - popatrz, jakie dziwne stworzenia.

- Nudne stworzenia - odpowiedział Fum - zupełnie nie rozumiem, co one robią.

Bobry piłowały drzewo na Wielką Tamę.

- Mój dobry zwierzaku - zwróciła się Fumica do Bobra, który pracował najbliżej - jak się nazywacie?

- Bóbr - mruknął Bóbr i dalej podcinał drzewo.

- Mój dobry Bobrze! Drzewa są niejadalne - powiedziała strofująco Fumica.

- Ja je podgryzam, ponieważ posłużą mi jako budulec na Wielką Tamę - odpowiedział już nieco uprzejmiej Bóbr, bo zrobiło mu się przykro, że ktoś może tak całkowicie nie rozumieć jego pracy.

- Ale to męczy - zauważył Fum.

- To dobrze - oświadczył Bóbr.

- Co wy też mówicie, mój Bobrze, to bardzo niedobrze - powiedziała Fumica.

- Trzeba wypoczywać.

- Po co? - zapytał zdziwiony Bóbr.

- Żeby się nie zmęczyć.

- Ja się lubię męczyć! - oświadczył Bóbr i przyjrzał im się podejrzliwie. - Nie lubię odpoczywać, a wy?

- My - Fumy popatrzyły na siebie - my wyłącznie odpoczywamy!

Bóbr wybałuszył oczy. Nie powiedział ani słowa. Tylko szybko pobiegł w kierunku swojej kolonii.

Za chwilę wszystkie Bobry zebrały się na Polanie wokół Fumów, a najstarszy z nich zapytał:

- Czy to prawda, że wy wyłącznie wypoczywacie?

- Oczywiście, mój dobry zwierzaku - odpowiedziała Fumica.

- I nawet nie próbowaliście pracować? - upewnił się najstarszy.

- Przecież praca męczy - oświadczył urażony Fum.

A wtedy wszystkie Bobry zaczęły rozpaczliwie szlochać i załamywać łapki.

- Przestańcie, dlaczego tak zawodzicie? - wrzasnął zdenerwowany Fum.

- Bo nam was żal - oświadczył przez łzy najstarszy - nigdy nie pracujecie.

- A nam was żal - obraził się Fum - nigdy nie odpoczywacie.

Jeszcze długo obie strony przekonywały się wzajemnie, że są nieszczęśliwe, ale nikt nikogo nie przekonał.

Pozostało tylko to przysłowie: „Płacze jak Bóbr nad Fumem”.

Gźdacz

Nie wszyscy wiedzą, że jest wiele wszechświatów. Są wszechświaty Grube i Chude, Kolorowe i Nadmuchiwane, Mrugające i Odrzutowe. Są też wszechświaty bardzo nieduże, a ten, który zamieszkują Gźdacz, jest najlepszym i najmniejszym ze znanych wszechświatów.

Otóż każdy taki wszechświat jest sobie całkowicie osobno i na ogół nie spotykają się ze sobą w żadnym punkcie, ale jak się spotkają, to taki punkt nazywa się Dziurą Kosmiczną.

Wszechświat Gźdaczy był tak mały, że kiedy spotkał się z naszym normalnym wszechświatem, to zrobiła się bardzo mała Dziurka Kosmiczna, przez którą mógł się precyzyjnie jedynie najmniejszy ze wszystkich Gźdaczy.

W gruncie rzeczy pozostałe większe i dorosłe Gźdacz nie bardzo miały ochotę wybierać się w jakiś inny świat, uważając, że jest im dobrze tam, gdzie są, tylko właśnie jeden, jedyny, najmniejszy Gźdacz postanowił precyzyjnie się przez Dziurkę. Zwany był on przez swych znajomych Wiercącym się Gźdaczem lub Nieustannie Fruwającym Gźdaczem (wszystkie Gźdacz mają pomarańczowe skrzydła) albo nawet Wyjątkowo Wścibskim Gźdaczem, sam zaś często myślał o sobie jako o Gźdaczu Żądnym Wiedzy.

Często się zdarza, że to, co mamusia uważa za wadę, my uważamy za zaletę i tak też było w wypadku małego Gźdacza.

Mamusia oczywiście chciała, żeby mały Gźdacz był żądny wiedzy, ale twierdziła, że jeśli ktoś na przykład nie myje uszu, żeby sprawdzić, czy ogłuchnie, to to nie jest żądza wiedzy, tylko głupia ciekawość.

W każdym razie mały Gźdacz skorzystał z nieuwagi starszych i precyzyjnie się na drugą stronę Kosmicznej Dziurki.

A po drugiej stronie akurat była Wielka Narada pod Auspicjami (Auspicje leżą niedaleko Krakowa).

Więc pod tymi Auspicjami siedzieli różni bardzo mądrzy uczeni i myśleli, co to takiego ta dziura, aż tu nagle wyfrunął z niej mały Gźdacz!

- Kto ty jesteś? - zapytali chórem uczeni.

Kiedy biegam, to jestem biegaczem,
kiedy fruвам, to jestem fruwaczem,
kiedy się boję, to jestem baczem,
a tak w ogóle to jestem Gźdaczem.

Więc podziwiaj mnie i patrz:

Jestem fruważący Gźdacz!

- odpowiedział mały Gźdacz i zakręcił młynka w powietrzu, a potem zatrzepotał«skrzydłami i poleciał w kierunku Krakowa.

Uczeni postali jeszcze trochę nad dziurą, ale ponieważ nic więcej z niej nie wylazło, to sobie poszli.

A tymczasem mały Gźdacz przyleciał do lasu. Bardzo się zawstydził uczonych, którzy przyglądali mu się badawczo, i może dlatego tak szybko uciekł, ile sił w pomarańczowych skrzydłach.

Chociaż był bardzo wścibski, to wcale nie lubił, żeby inni przyglądali mu się badawczo i znacząco chfzākali, bo wtedy z zakłopotania skrzydła robiły mu się całkiem fioletowe.

Ale ledwie przyleciał do lasu, znowu ktoś znacząco chrzāknał. Była to wrona, która jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś miał pomarańczowe skrzydła.

- Coś podobnego - powiedziała - coś podobnego! No, no - powtórzyła jeszcze raz: - coś podobnego! - Przyjrzała się Gźdaczowi dokładnie, ponownie chrzāknęła i oświadczyła stanowczo: - Coś podobnego!

- To samo chciałam powiedzieć - zaskrzeczała druga wrona, która nadleciała z przeciwka - coś podobnego!

Gźdacz był już trochę zmęczony, więc choć obie wrony patrzyły prawie tak samo badawczo jak uczeni, zapytał grzecznie:

- Czy mógłbym dostać gdzieś tutaj odrobinę tiritongi?

- Coś podobnego! Jakiej znowu tiritongi? - zapytały wrony i spojrzały po sobie.

- W moim wszechświecie - odpowiedział Gźdacz - wszystkie Gźdacze jedzą tiritongę.

- Ach, więc to jest Gźdacz? - wrzasnęły wrony i poleciały pochwalić się, że widziały prawdziwego Gźdacza żywiącego się tiritongą.

„Bardzo nieładnie, że tu nigdzie nie ma tiritongi i że wszyscy dziwią się moim pomarańczowym skrzydłom” - pomyślał sobie Gźdacz.

Wzbił się trochę wyżej i zobaczył chłopca, który siedział na polanie w lesie i płakał. Podfrunął więc do niego i zapytał:

- Dlaczego ty cieknieiesz? (Ponieważ Gźdacze nie płaczą nigdy, nie wiedział, że to są łzy).

- Dlatego, że się zgubiłem - odpowiedział chłopczyk. - A kto ty jesteś?

Kiedy biegam, to jestem biegaczem,
kiedy fruвам, to jestem fruważcem,
kiedy się boję, to jestem baczem,
a tak w ogóle to jestem Gźdaczem.
Więc podziwiał mnie i patrz:
Jestem fruważący Gźdacz!

- A ja jestem chłopczyk - powiedział chłopczyk - i zgubiłem mamę, kiedy szukaliśmy grzybów na obiad.

- Czy grzyby to coś w rodzaju tiritongi?

- Nie wiem, co to jest tiritonga, ale grzyby są do jedzenia.

- Tiritonga jest właśnie do jedzenia - odpowiedział Gźdacz. - Jeżeli nie wiesz, gdzie jest twoja mama, to polec do góry i rozejrzyj się dokoła.

- Przecież nie mam skrzydeł - zmartwił się chłopczyk i rozplakał się jeszcze bardziej.

- Przestań cieknać - zawołał Gźdacz - ja jestem doskonałym fruważcem!

Wzbił się bardzo wysoko i zobaczył na skraju lasu mamusię chłopczyka, która stała i wołała:

- Hop, hop!

- Hop, hop! - zawołał Gźdacz. Zatoczył wielkie koło i usiadł na gałęzi naprzeciwko mamusi chłopczyka.

- Chłopczyk siedzi na polance i musimy się śpieszyć, bo bardzo wycieka - powiedział.

Więc mamusia chłopczyka poszła szybko we wskazanym kierunku, a Gźdacz fruwał do góry i na dół, żeby przypadkiem nie pomyliła drogi.

A kiedy było po kłopotcie i chłopczyk spotkał swoją mamusię, a mamusia swego chłopczyka, Gźdacz zapytał, gdzie mógłby dostać tiritongę.

Niestety, grzyby - to nie była tiritonga, więc pożegnał się grzeczni[^], żeby zdążyć na obiad do swojego wszechświata. Poleciał do dziury pod Auspicjami i śpieszył się tak bardzo, że spóźnił się tylko troszeczkę i jego tiritonga była całkiem ciepła.

Mamusia wcale się nie gniewała.

- Wiesz, mamusiu - powiedział Gźdacz - we Wszechświecie, po drugiej stronie Dziury Kosmicznej, też są mamusie.

- Tyle razy ci mówiłam, żebyś nie fruwał za daleko - powiedziała mamusia. Ale tak naprawdę, to się wcale nie gniewała.

Bromba

Historia Bromby należy do historii zawikłanych, pełnych zaskakujących niespodzianek i komplikacji, jednym słowem, przypomina samą Brombę, tę najniezwyklejszą postać ze wszystkich postaci zwykłych i małych.

Bromba nie posiada specjalnie niepokojącego wyglądu, nie wyróżnia się też niczym, co by przykuwało uwagę na pierwszy rzut oka. Jest nieco większym od wiewiórki stworzonkiem o różowym futerku, a na odrobinę za bardzo wystającym brzuszku nosi dużą żółtą torbę wypełnioną różnymi niezbędnymi przedmiotami, jak to: lornetką, wagą, kalendarzykiem, siedmioma termometrami, zegarem, metrem krawieckim oraz dużym złożonym dyplomem ozdobionym takim napisem:

*Niniejszym zaświadcza się, że Bromba jest upoważniona do mierzenia i ważenia
oraz
podawania wyników, ponieważ ukończyła kurs i okazała się bardzo precyzyjna.
podpisano:*

*Centralny Urząd do Mierzenia
i Ważenia.*

Wydawałoby się, że trudno wyobrazić sobie miłszą i ciekawszą pracę niż praca Bromby.

Wędruje sobie Bromba od jednego do drugiego i nic, tylko mierzy i waży. Temu poda długość ogona nie tylko w centymetrach, ale nawet w calach, innemu obliczy rozpiętość skrzydeł, jeszcze komuś sprawdzi temperaturę albo zważy młodszego braciszka.

Zresztą Bromba, bardzo ścisła w obliczeniach, działająca bez pośpiechu, sama na początku nie zdawała sobie sprawy, jak trudny obrała sobie zawód, trudny zwłaszcza dla kogoś tak jak ona skłonnego do refleksji.

Wszystkie Bromby, jak wiadomo, były skłonne do refleksji i może dlatego tak skromnie prezentuje się ich udział w wojnach i tym podobnych imprezach, w których umysły głębokie czyli refleksyjne, nigdy nie gustowały.

Bo rzeczywiście, jak się dobrze pomyśli, to każda awantura, walka, pojedynki okazują się zajęciem ponurym, dość monotonnym, a nawet wręcz nudnym dla umysłu naprawdę

dociekliwego. A ta Bromba należała do Bromb wyjątkowo dociekliwych, była, można by powiedzieć, najbardziej brombiasta z Bromb.

Zaczął się od tego, że Fikander, któremu Bromba miała zmierzyć długość uszu, zajrzał do jej żółtej torby.

- Ojej! - zawołał - ale tu dużo różnych aparatów!

- Stój przyzwoicie! - mruknęła Bromba - bo nigdy nie dowiesz się, jak długie masz uszy!

Fikander oczywiście zaraz się wyprostował, a Bromba powoli i uroczyście zmierzyła mu najpierw lewe, a potem prawe ucho, a na wszelki wypadek potem jeszcze raz prawe i lewe.

- Nie ulega wątpliwości - oświadczyła - każde twoje ucho posiada trzydzieści trzy centymetry sześć milimetrów długości. Czy podać ci ten pomiar także w calach?

- Dziękuję bardzo - wystarczy mi świadomość, że każde z moich uszu ma trzydzieści trzy centymetry z kawałkiem - powiedział Fikander. - Teraz, kiedy będę zamawiał nauszники, sprawa będzie o wiele prostsza.

-- Oczywiście - odparła Bromba zaglądając do kalendarzyka. - Według specjalnej tabeli potrzebne ci są nauszники numer 18.

- Zaraz sobie zapiszę - oświadczył Fikander, ale wcale nie zapisał, tylko zaczął oglądać jeden z termometrów.

- Dlaczego jesteś niesprawiedliwa - zapytał - i nie mierzyłaś mi uszu tym aparatem?

- Ten aparat służy do pomiaru temperatury - powiedziała Bromba, wyjęła mu z łapki termometr i schowała do torby. - Używam go tylko przy podejrzeniu o chorobę.

Ale później, kiedy już wracała samotnie do domu, przyszła jej do głowy dziwna myśl.

„Dlaczego uszu Fikandra nie można zmierzyć termometrem?” - myślała.

„Głupie pytanie - odpowiedziała sobie w myśli - równie dobrze można by się zastanawiać, dlaczego nie można zważyć temperatury?”

I choć usiłowała na różne sposoby odpędzić od siebie podobne pomysły, ta nie dawała jej one spokoju.

Żółta torba zaczęła nagle ciążyć, więc usiadła i obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem.

- Rzeczywiście, strasznie dużo aparatów. Wiele wygodniej byłoby nosić ze sobą dyplom i jeden jedyny przyrząd do mierzenia wszystkiego.

I im dłużej Bromba się zastanawiała, tym gwałtowniejszą odczuwała potrzebę wyjaśnienia sobie problemu - dlaczego nie ma przyrządu do mierzenia wszystkiego?

Ponieważ po kilku tygodniach rozmyślenia nie mogła dojść do żadnych wniosków,

udała się do Centralnego Urzędu do Mierzenia i Ważenia, gdzie poprosiła o rozmowę z Głównym Mierniczym.

Bardzo się ucieszył, gdy ją zobaczył, ale gdy wyjaśniła mu powód swojej wizyty, przestał się uśmiechać i popatrzył bardzo poważnie

- Droga koleżanko - powiedział - urząd nasz przez wiele lat pracował nad skonstruowaniem aparatu do mierzenia wszystkiego. Ale sprawa jest o wiele trudniejsza, niż się wydaje.

Mamy wiele dziedzin, których właściwie nie można wcale zmierzyć. Nie ma aparatów do mierzenia urody, trudno jest dokonać pomiaru radości lub smutku, a zrobienie jednego, jedyne przyrządu do mierzenia wszystkiego jest całkowicie niemożliwe. Przynajmniej na razie.

Więc Bromba podziękowała za rozmowę i dalej ruszyła w świat ze swoją ciężką, żółtą torbą. Tu właściwie urywa się historia, o której można by powiedzieć, że mimo pozorów jest zawiła-na, skomplikowana i tajemnicza, ale tak często bywa z historią, w której uczestniczą Bromby.

Utwór, który Bromba ułożyła sobie po rozmowie z Głównym Mierniczym Centralnego Urzędu do Mierzenia i Ważenia:

Już tyle lat wędruję i
przebyłam wiele drózek,
ale brakuje miary mi:
jak zmierzyć me podróże?
Czy kalendarzem, kiedy znów
kolejna kartka spadła,
czy też ilością miłych słów
od Pciucha i Fikandra?
Czy może sumą wszystkich sum
podanych przez maszynki
lub (jak doradzał pewien Fum)
policzyć odpoczynki?
Może uśmiechy wszystkich paszcz
dodawać w jeden szereg,
a może właśnie każdy płacz
powinien mieć numerek?

Wspólnych wyników moich tras
(choć nie chciałam wierzyć)
nie ma. I nie ma nawet szans,
by wszystko naraz zmierzyć.
Trudno obliczyć życia szlak,
lecz błędą ci, co chcą, by
zważyć w skądinąd znany fakt
nieomyślności Bromby!

Fikander

Fikander różni się od wszystkich. Złośliwi mówią nawet, że Fikander robi wszystko, żeby odróżnić się od wszystkich, ale jest to tylko złośliwość. Po prostu, jako poeta, Fikander poświęca więcej czasu na sprawy, które są mniej ważne dla innych.

Na przykład wybrał się kiedyś na wspaniały mecz piłki nożnej pomiędzy Puckami a Packami i zamiast oglądać, jak kopią piłkę, cały czas odwracał się do tyłu, gdzie siedziała Malwinka.

- Podczas meczu piłki nożnej potrafi się zakochać tylko Fikander - powiedzieli złośliwi. No, ale Malwinka jest rzeczywiście śliczna.

Podczas tego historycznego meczu zakończono remisem dwa - dwa Fikander naprawdę zakochał się w Malwince. Dokoła krzyki, marynarki powiewają w górze, spokojny zazwyczaj Fum trąbi na jakiejś wielkiej okarynie, małe asiaki ciągną wiewiórki za ogony, Pciuchy gwizdzą, koty machają transparentami, a Fikander patrzy tylko na Malwinę!

I tak rozpoczęła się historia wielkiej miłości poety i zegarynki.

Malwinka-zegarynka pracowała w centrali telefonicznej i miłym, ciepłym głosem podawała godziny. Oczywiście było tam jeszcze kilka innych osób, dlatego że o godzinę można się zapytać przez telefon zawsze, ale Mai winka wykonywała tę pracę najczęściej, gdyż posiadała doskonałą dykcję i zawsze starannie trzymała się regulaminu.

Podczas meczu bardzo się zaniepokoiła (bo oczywiście zauważyła, że Fikander przygląda się jej bez przerwy), była jednak wyjątkowo skromna i nawet przez myśl jej nie przeszło, że to z powodu jej urody.

A Fikander taki był nieśmiały, że nie miał odwagi podejść i powiedzieć, dlaczego się jej przygląda. Go innego napisać poemat wierszem na sto stron, a zupełnie co innego powiedzieć dwa zdania do nieznanym w czasie meczu piłki nożnej.

Więc Fikander zamiast po zakończeniu meczu podejść i na przykład bardzo uprzejmie zapytać: Czy Malwinka uważa, że wynik jest słuszny, albo czy Malwinka nie zechciałaby z nim zamienić pani słów o pogodzie, ruszył w odległości kilkunastu metrów za nią, ciągle nie mogąc przestać się przyglądać.

Małpka przestraszyła się nie na żarty. Szła bardzo szybko, a kiedy tylko weszła do domu, zamknęła drzwi na klucz i zatelefonowała do Kajetana Chrumpska.

- A jak wygląda podejrzany osobnik? - zapytał Kajetan.

- Nosi bardzo długi szalik owinięty kilka razy wokół szyi, uszy chyba po 30

centymetrów każde, bardzo duże, piwne, smutne oczy, ubrany w czarne futerko z żółtym szlaczkiem, pod pachą trzyma dwie książki, ciągle się wpatruje w moje okno - powiedziała Malwinka.

- Ależ to Fikander! - zawołał Chrumps.

- Czy to bardzo groźny przestępca?

- Wstyd, Malwinko - powiedział słynny detektyw - czyżbyś nie czytała poematu Fikandra pod tytułem „Cień moich uszu przeklęty”?

- Nie - powiedziała Malwinka - ostatnio mało czytam. Tyle osób chce wiedzieć, która godzina...

- Mam pewien projekt, który ułatwi ci czytanie, ale o tym porozmawiamy potem, a teraz poproś Fikandra do telefonu - powiedział Kajetan.

Malwinka otworzyła więc okno i zawołała:

- Panie Fikandrze, pan Kajetan Chrumps prosi pana do telefonu.

Fikander zaczerwienił się od stóp do głów i wszedł do pokoju Malwinki, żeby wziąć słuchawkę.

- Halo, czy to Fikander? - zapytał detektyw.

- W pewnym sensie - odpowiedział coraz mocniej zaczerwieniony poeta.

- Nie można być sobą w pewnym sensie, a nie być w innym - powiedział Kajetan.

- Można - odpowiedział smutno Fikander.

- Ale to ty? - zaniepokoił się Kajetan.

- Ale to ja - odpowiedział Fikander - w pewnym sensie.

- A jak ty się czujesz, Fikandrze? Co ci przyszło do głowy, żeby chodzić za Malwinka?

- Och! - westchnął Fikander - przepięknie...

- Wytlumacz się jaśniej, co przepięknie?

- Nie mogę. Imię rymuje się przepięknie... słoninka... wędlinka... koniczynka... przepięknie...

- Zdaje się, że już wiem, o co chodzi. Poproś Malwinę.

- O co?

- Do aparatu.

Fikander czerwony jak piwonia podał Malwinie słuchawkę, ale nie powiedział ani słowa. I kiedy detektyw zaczął tłumaczyć Malwinie, że sławny poeta Fikander po prostu, jak to poeta, zamyślił się i trochę niechcący poszedł za nią, ale na pewno... Sławny poeta zamiast grzecznie wyjaśnić sytuację, uciekł z mieszkania Malwinki strasznie zawstydzony i w

ponurym nastroju.

Ale na następny dzień Malwinka zobaczyła rano, że Fikander stoi pod jej oknem trzymając w ręku olbrzymi pęk kwiatów. Były tam i bzy, i róże, i goździki, i w ogóle bardzo dużo różnych kwiatów pomieszanych. To było tak wzruszające, że Malwinka, choć przecież powinna mieć żal do Fikandra za wczorajszy dzień, wyszła i powiedziała:

- Dzień dobry! Czy te kwiatki to dla mnie?

- Dzień dobry. Tak - odpowiedział Fikander.

- Bardzo pan miły. Szkoda, że pan wczoraj nie został dłużej.

- Przepraszam - powiedział Fikander i uśmiechnął się, chyba po raz pierwszy w życiu, bo zawsze był poważnym i zamyślonym artystą.

- Zabiorę te kwiaty i wstawię do wazonu u siebie w pracy - powiedziała Malwinka.-
Przyjdzie pan do mnie, kiedy skończę pracę? Poszlibyśmy na karuzelę.

- Oczywiście! - powiedział Fikander.

- To do widzenia - powiedziała Malwinka - wrócę koło godziny trzeciej.

- Do widzenia - powiedział Fikander. - I znów się uśmiechnął, ale teraz trochę smutniej, bo Malwinka odchodziła.

Malwinka też się zakochała w Fikandrze. Trwało to oczywiście dłużej, bo tylko poeci potrafią tak się skupić, żeby zakochać się na meczu piłki nożnej, ale bądź co bądź idąc do pracy miała głowę pełną rozważań, jaki ten Fikander oryginalny, jakie interesujące pisze wiersze (pożyczyła je sobie zeszłego dnia od Pańci), jakie ma duże oczy, jak sympatycznie się uśmiecha... kiedy usłyszała za sobą głos wiewiórki:

- Tego bym się po tobie, Malwinko, nie spodziewała...

- Dzień dobry pani - przywitała się Malwinka.

- Tego bym się nie spodziewała - powtórzyła wiewiórka. - Jestem odpowiedzialna za stan naszego miejskiego ogrodu i właśnie się zastanawiałam, kto dzisiaj nazrywał tyle kwiatów, a tu okazuje się, że to Malwinka. Mogłaś przecież poprosić, a nie tak brutalnie zrywać, co wpadnie pod rękę...

Malwinka oczywiście wzięła winę na siebie, ale kiedy Fikander przyszedł, żeby ją zabrać na karuzelę, oświadczyła:

- Przepraszam bardzo, ale miałam dziś kłopoty z tego powodu, że nazrywał pan kwiatów w miejskim ogrodzie, i niestety nie będę panu mogła towarzyszyć na karuzeli!

Powiedziała to tak uroczystym tonem, że jej samej zrobiło się przykro, a Fikander znów milczał.

„Stoję jak rażony gromem” - pomyślał. A potem poszedł.

- Dwunasta pięćdziesiąt trzy, dwunasta pięćdziesiąt trzy - mówiła właśnie Malwinka, kiedy usłyszała w słuchawce:

Pod twoim białym domem
stałem jak rażony gromem.
I biło me serce z łomotem,
ale musiałem iść potem.
Och, co za bolesna wiadomość:
ja zrywam kwiaty, ty naszą znajomość.

- Dwunasta pięćdziesiąt trzy, dwunasta pięćdziesiąt trzy - powtórzyła Malwinka, choć tylko żelazna wola powstrzymywała ją od przekroczenia regulaminu.

O, gdym cię ujrzał wśród tłumu,
mało nie straciłem rozumu.
Za tobą szedłem skrycie,
mógłbym tak całe życie.

Malwinka знаła surowy regulamin zegarynek zakazujący prywatnych rozmów. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Dwunasta pięćdziesiąt cztery, dwunasta pięćdziesiąt cztery - mówiła.

Lecz słodka była ta chwilka,
choć jestem kopnięty jak piłka.
Żegnam cię w bólu i trwodze.
Cóż mi zostało - odchodzę.

- Dwunasta pięćdziesiąt cztery, dwunasta pięćdziesiąt cztery... - Szczęknęła odkładana słuchawka. Malwinka rozplakała się na dobre. Nikomu nie należy życzyć takiego wyboru: obowiązek czy uczucie? A piękna Malwinka przeżyła dwie najcięższe minuty swojego życia od godziny dwunastej pięćdziesiąt trzy do dwunastej pięćdziesiąt pięć.

I nie wiadomo, jak by się skończyła cała historia, gdyby nie roztargnienie Fikandra. Zrozpaczony, powtarzając sobie cały czas w myśli: „Cóż mi zostało... odchodzę”, wyszedł z budki telefonicznej, zarzucił spakowany uprzednio plecak i ruszył przed siebie. Ponieważ nie

wszystkie książki mieściły się w plecaku, niósł także kilka w rękach, a jego długi, romantyczny szal rozwijał się coraz bardziej, włókł się po ziemi i już wkrótce poeta mógł się przekonać, skąd się wzięło jego odziedziczone po przodkach imię. Fiknął bowiem takiego fikołka, że kiedy oprzytomniał, powtarzał przekręcone słowa: „cóż mi odeszło... zostaję”, a nad sobą zobaczył pochyloną Malwinę, która właśnie zmieniała mu okład na głowie.

Fiknął tak nieszczęśliwie (albo szczęśliwie, jak kto woli), że musiał leżeć w łóżku trzy dni i codziennie rano Bromba przychodziła zmierzyć mu temperaturę szklanym termometrem. Malwinka robiła mu kompot ze śliwek. Ponieważ Kajetan Chrumps wynalazł właśnie urządzenie magnetofonowo-zegarowo-telefoniczne, mogła chodzić do pracy, kiedy chciała, nawet już wtedy, kiedy Fikander wyzdrowiał.

Wiewiórkę oboje jeszcze raz przeprosili i odczytali specjalny utwór na przeprosiny pod tytułem „Daremne żale, próżny ogród”. Od tej pory rozstają się ze sobą bardzo rzadko, ale tę część opowiadania pozostawmy samemu poecie...

Kajetan Chrumps

Czym, a właściwie: kim jest Kajetan Chrumps?

Są tacy, którzy mogliby o nim opowiadać godzinami, są też tacy, którzy boją się wymawiać jego imię lub nazwisko, są wreszcie inni, którym pomógł i zniknął, zanim zdążyli wyjąkać słowa podziękowania.

Jest on bowiem jedynym zwierzątkiem, które posiada imię i nazwisko (nie licząc setek pseudonimów, pod którymi się kryje), jedynym zwierzątkiem naprawdę detektywistycznym.

Pomocy udziela nie wzywany, rozszyfrowuje zagadki, aresztuje (tak!) winnych, odsłania tajniki przestępstw i walczy w imieniu Prawa.

Legenda głosi, że urodził się w labiryncie i wyszedł z niego natychmiast drogą dedukcji.

Od tego czasu wydał tak zdecydowaną walkę przestępczości zwierzęcej, że ostatnio ma niewiele do roboty - układa łamigłówki do pism rozrywkowych, reperuje stare zegary.

Ale był czas, kiedy miewał łapki pełne roboty i musiał pokonywać piętrzące się przeciwności, samotnie pojedynkować się z wilkiem-mordercą, kuną-złodziejem i z innymi przewrotnymi, groźnymi przestępcami.

Kajetan Chrumps zawsze pozostał nieustępliwy i twardy i nigdy nie zboczył z wytyczonej drogi obowiązku.

Dla ścisłości trzeba wyjaśnić, że nieprawdziwe są plotki, jakoby miał niespożyte siły. Przeciwnie - męczył się jak każdy.

Zdarzało mu się nawet narzekać na reumatyczne bóle w ogonku, zwłaszcza kiedy jesiennymi wieczorami prowadził jakieś zawikłane, wymagające długich podróży śledztwo.

Jego wytarta zielona kurteczka (w kieszeniach której miał doskonałą procę, szkło powiększające oraz pudełko pinezek) nie zawsze widać najlepiej chroniła od chłódów jesiennych.

Można by oczywiście poświęcić osobną książkę przygodom Kajetana Chrumpsa (podobno nawet powstaje taka, a autorka, Bromba, nadała jej tytuł roboczy „Kajetan Chrumps wraca do akcji”), ale nam chodzi raczej o skromną prezentację osobowości i charakteru, nie o całkowitą ocenę tak bogatej przecież działalności.

Jakże jednak pominąć w niniejszej opowieści fakt skomponowania i napisania przez Kajetana Chrumpsa „Marsza Cierpliwych Detektywów”? A oto ten marsz:

Cierpliwość cnotą detektywa.
Wytrwałym w dociekaniu bądź,
zawsze bądź!
Myślenie prawdę nam odkrywa,
więc sprawnie wnioskuje, sprawnie sądzi,
sprawnie sądzi!

Ref.:

Hip! hip! rozumowanie!
i chłodna logika!
Dokładnie trzeba sprawdzić,
co z czego wynika.
Hip! Hip! Hip!
Więc przemierzajmy nowe szlaki,
wędrujemy kryjąc w głowie plan,
mądry plan!
Dopomagajmy stworom takim,
którym jest ciężiej, niż jest nam,
właśnie nam!
Niech sprawiedliwość triumfuje,
gdzie skierujemy dziarski krok,
śmiały krok!
A nam po trudach niech smakuje
świeżutki porzeczkowy sok,
pyszny sok!

Sok porzeczkowy, to jedyny napój, który pije Kajetan Chrumps.

Nawet podczas niezwykłego pojedynku z tak zwanym genialnym przestępcą...

Ale zacznijmy od początku. Pewnego mglistego, październikowego poranka, kiedy opadające liście zacierają ślady, a jesienny deszcz roztopia dowody rzeczowe, Kajetan Chrumps stał za węglem dużej kamienicy nr 17.

Od wielu tygodni był na tropie szczególnie wyrafinowanego przestępstwa, ale przestępca wymykał się, kluczył i Kajetan Chrumps czuł, że ma do czynienia z kimś, kto nie jest przeciętnym umysłem, z kimś, kto przenika przez jego sprytne pułapki, ba, czasami wręcz

drwi sobie z niezmordowanego detektywa.

Właśnie roznosiciel mleka wychodził z kamienicy nr 17, a Kajetan wślizgiwał się w drzwi, powtarzając sobie: - Może zdążę na czas, może zdążę...

Niestety. Kiedy stanął przed drzwiami na trzecim piętrze, dostrzegł, że w jednej z butelek brakuje mleka. Tak było zawsze. Chrumps już dawno ustalił, że pirat grasuje wśród ulic Wielkiego Miasta, wybierając zawsze jakiś duży piętrowy dom z numerem 17, i że zawsze znika mleko tylko z jednej jedynej butelki (choć przecież roznosiciele stawiali mleko przed prawie każdymi drzwiami).

Zagadka tkwiła w tym, które drzwi i dlaczego wybiera przestępca. Nie sposób było codziennie okrążyć wszystkie domy z nr 17, należało liczyć, na to, że wreszcie Kajetan Chrumps odnajdzie jakiś klucz do zagadki.

Detektyw wiedział bardzo dużo. Wiedział nawet, kim jest jego przeciwnik, bo strwożone podziemie kryminalne powtarzało często to imię z lękiem i czcią, a służba bezpieczeństwa z niechęcią i ukrywanym zakłopotaniem - Kot Makawity.

Makawity był postacią prawie mityczną. Opowiadano o nim, że wygląda jak zwykły kot, że mieszka gdzieś w Wielkim Mieście i że to właśnie on jest tym geniuszem, który nieuchwytny planuje, za drobne zresztą datki, najbardziej skomplikowane rabunki.

Makawitego nikt nie widział, dane co do koloru, rasy, ba, nawet rozmiarów były sprzeczne. Ale Makawity musiał się odżywiać i dlatego Kajetan Chrumps z uporem maniaka sprawdzał wszystkie domy nr 17. Tym razem także niewiele przyniosła wizja lokalna. Mały, okrągły otwór w cienkiej blaszce kapsła, ani odcisku pazura, dokładnie pozamykane wszystkie okna.

Kajetan uważnie obejrzał się dokoła. Drzwi miały numer 33 i należały do pana Sędzimira Twarbga. Kiedy wpisywał do notesu te dane, sprawdził jeszcze raz poprzednie i myśl, jak błyskawica, przebiegła mu przez głowę.

Gdy szedł już późnym popołudniem wzdłuż dzielnicy willowej, nadal liczył: Jerzy Pac - osiem liter plus 17 to razem 25! Niestychane!

Makawity wypijał mleko tylko tam, gdzie suma liter imienia i nazwiska odjęta od numeru mieszkania wynosiła 17!

Nie było to wiele, ale już coś. Do późna w nocy wertował detektyw spis ludności, aż wreszcie zaryzykował. Ukryje się jutro w okolicy mieszkania pani Zofii Patyczek nr mieszkania 30, nr domu, oczywiście, 17!

Pod starym, odwróconym kubłem czekał nasz bohater na odejście roznosiciela mleka. Gdy umilkły kroki na schodach, Kajetan Chrumps wstrzymał oddech. Ciche skrzypnięcie,

potem drugie, bezszelestnie wysuwa się ze zsypu na śmieci elegancki czarny kot w białych rękawiczkach i... za pomocą cieniutkiej słomki cocktailowej chce wypić mleko!

Nagle zadudnił głos detektywa spod kubła:

- W porządku, Makawity. Mam pana na procy! Proszę nie próbować żadnych sztuczek!

Trzeba przyznać, że Makawity szybko się opanował. Choć zaskoczony, nie okazał specjalnego zdziwienia.

- Pan Kajetan Chrumps? - zapytał. - Wiele o panu słyszałem! Trudno - westchnął ciężko - przegrałem!

Kajetan podszedł do niego i oświadczył opuszczając procę:

- Teraz, kiedy już pana obejrzałem osobiście, rzeczywiście nie ma pan żadnych szans! Odnalazłbym pana na końcu świata!

- Jaki los mnie czeka? - zapytał Makawity.

- Cóż, nie sądzę, żeby ucieszyło pana oddanie w ręce poszkodowanych - mruknął Chrumps.

Makawity wzdrygnął się. Wąsy mu opadły i wyglądał bardzo żałośnie.

- Jeśli mam być szczery, mnie także nie odpowiada takie rozwiązanie - oświadczył detektyw. - Takie sprawy lepiej załatwiać między nami zwierzętami. Dam panu- szansę! Jestem zwolennikiem rehabilitacji - ciągnął dalej - ale chodźmy stąd, bo obaj oberwiemy, choć nawet nie napoczął pan tego mleka. Porozmawiamy u mnie w domu.

A gdy już usiedli w ciepłej norce, detektyw kontynuował swoją wypowiedź:

- Obaj wiemy, że nie jest pan byle kim, Makawity! Dlatego też pragnę pana potraktować jak kota honoru. Obaj wiemy, że to, co panu udowodniłem, to banalne i w gruncie rzeczy minimalne przestępstwo. Niewiele panu grozi, ale wystarczy, by grzązł pan dalej. Jeszcze nieraz może się panu pośliznąć łapa, gdy już trafił pan do mojej kartoteki. A oto moje warunki: zrezygnuje pan z działalności przestępczej i z udzielania wszelkich porad wszystkim pospolitym rabusiom, naprawi pan, o ile to możliwe, szkody wyrządzone przez siebie i przyrzeknie, że raz na zawsze zrywa pan z dotychczasowym życiem.

Makawity zamyślił się głęboko.

- To nie jest takie proste - miauknął - ja nawet nigdzie nie mieszkam.

Nagle wzrok jego padł na stojące na stoliku szachy. Zaświeciły się kocie oczy.

- Panie Kajetanie - zaczął - proszę darować śmiałość - ale czy przed moją ostateczną decyzją nie moglibyśmy zagrać paru partii? Zawsze marzyłem o takim przeciwniku jak pan.

Chrumps zgodził się chętnie, bo czuł, że będzie to jedna z takich gier, które

najbardziej lubił, że będzie to gra o wysoką stawkę, o przekonanie Makawitego do uczciwego życia.

Ustalili, że mecz będzie miał 12 partii. Czyż można opisać tę wspaniałą walkę intelektów?

Słońce wstawało na niebie, by znowu się schować, a oni grali partię po partii. Detektyw popijał sok porzeczkowy, a swojego niezwykłego gościa częstował mlekiem.

I stało się, co się musiało stać. Kajetan

Chrumps odniósł zwycięstwo. A Kot Makawity nie tylko dał mu wtedy słowo honoru, że nigdy nie będzie miał powiązań ze światem przestępczym, ale nawet poprosił, czy nie mógłby wpaść czasem na szachy, na rewanż.

Obszerniejszą relację z tych wydarzeń znaleźć można będzie w książce Bromby, która właśnie waha się, czy nie zmienić tytułu na następujący: „Rehabilitacja Kota Makawitego”.

Pierwsze wiadomości o Vicewersach dzikich

Lustra posiadają swoją tajemnicę.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w lustrach mieszka specjalna odmiana Vicewersów dzikich, czyli Zwierząt Odbitych.

Czy zastanawialiście się przez chwilę, co się odbija w lustrze, które stoi naprzeciw lustra? Oczywiście to lustro, które stoi naprzeciw lustra i nawzajem. Ale takie odbijanie się nawzajem jest wystarczająco nudne, żeby po pewnym czasie któreś lustro nie odbiło czegoś, czego w tamtym drugim wcale nie ma, i żeby nie zaczęły się między lustrami wzajemne wykrzywiania, które prowadzą właśnie do powstania Vicewersów dzikich.

Vicewersowie przybierają rozmaite, bardzo wyszukane kształty.

Odnaczają się też pewną specyficzną cechą - nigdy nie wiedzą, która łapka jest lewa, a która prawa.

Zasadniczo Vicewersowie żyją w stadach, ale trudno jest spotkać nawet pojedynczego Vicewersa, bo przed ludzkim wzrokiem kryją się błyskawicznie.

Posiadają wiele interesujących obrzędów ludowych, pieśni, legend, obyczajów i niesłusznie nazywa się ich dzikimi, ale nazwę przyjęto, by odróżnić ich od zupełnie nieciekawych Vicewersów zwykłych, które można obejrzeć w lustrze, ile razy tam się zajrzy.

Hymn, który śpiewają zawsze podczas swej największej uroczystości - Święta Wielkiego Odbicia - daje najlepszy dowód ich wysokiej kultury:

Gdy kryształ luster zabłyśnie,
gdy światłem się, szyby,
zaskrzycie, niech każdy sobie wymyśli
jeszcze ciekawsze Odbicie!
Jak dobrze nie być podobnym,
gdy przejrzysz się po raz trzeci,
jak dobrze z lewa mieć prawo
i vice versa naprzeciw!!!

A oto legenda związana ze Świętem Wielkiego Odbicia: Dawno, dawno temu, kiedy na świecie nie było jeszcze luster, Vicewersowie prowadzili trudny i pełen wyrzeczeń tryb życia. Podróżowali od strumyka do jeziora, od jeziora do rzeczki, od rzeczki do jakiegoś

źródółka - wszystko w nadziei, że uda im się osiągnąć tak zwane podwójne odbicie, które jest warunkiem ich dobrego samopoczucia.

Nikt wtedy nawet nie marzył o salach baletowych pełnych luster, wielkich halach teatralnych, ba, zwykła szyba wydawała się czymś nieosiągalnym, zresztą nie została jeszcze po prostu wynaleziona.

Otóż któregoś dnia dotarła do Vicewersów wiadomość, jakoby pewien król, mieszkający za siódmą górą i za siódmą rzeką, posiadał narzędzie doskonale odbijające i że nic nie robi, tylko w nie patrzy.

Jaskółki, które przyniosły tę informację, były bardzo podniecone i opowiadały, że cały kraj leży w ruinie, a król nic, tylko się przegląda.

Zebrał się więc wszyscy Vicewersowie i rada w radę ustalili, że trzeba wysłać kogoś na zwiady. Ale że nikt nie chciał wyruszać w taką długą podróż, więc ciągnięto losy.

No i los padł na wyjątkowo okropnego Vicewersa. Vicewersowie dzicy w ogóle nie są ładni, ale ten należał do najbrzydszych, tak że nawet wśród swoich nazywano go Pokraka.

Wyobrażam sobie, ile musiał się biedny Pokraka namęczyć, zanim dotarł za siódmą górę i za siódmą rzekę!

Kiedy przybył pod pałac, był tak zmęczony, że z wielkim trudem wśliznął się do konewki, a potem na miednicę królewską. I tak mu się udało, że od razu na królewską!

Patrzy Pokraka: wstaje rano król, ale jeszcze przed umyciem zagląda w kwadratowe pudełeczko, które trzyma w ręku, i mówi do siebie:

- Ojjoj, ale ze mnie ładny król! No, no! Oczy jakie mam błyszczące, nosek jaki, a ta korona jaka elegancka!

Spojrzał Pokraka, a tu król trzyma w ręku lustro, pierwsze lustro, jakie było wtedy na świecie.

Zebrał się Pokraka w sobie i hop! Skoczył do lusterka. Ale mu tam dobrze! Tylko że się jeszcze nie umiał chować, więc go król zobaczył.

- A to co znowu? - wrzasnął król - czy ja tak wyglądam?

- Jeszcze gorzej - powiedział Pokraka i tak się skrzywił, że aż królowi o mało szczęka nie wyskoczyła z zawiasów.

- Oj! - zawołał król - co to jest?

- Będzie jeszcze gorzej, jak będziesz to przechowywał dla siebie! - mruknął Pokraka.

- Co takiego? - pyta król.

- To, w czym ja siedzę - rzekł Pokraka.

- Lustro? Ależ lustra są bardzo drogie!

- No to co z tego? Co to za władca, który nie myśli o szczęściu swoich poddanych, tylko wciąż się przegląda! - oświadczył Pokraka i zrobił tak paskudną minę, że aż króla zemdliło.

- Przestań, przestań - krzyknął król - zaraz zacznę myśleć o szczęściu swoich poddanych!

- No, żeby tylko! - pogroził Pokraka królowi i tak wybałuszył oczy, jakby się dusił.

- Tylko nie to, tylko nie to - prosił król - już biegnę!

I rzeczywiście zostawił lustro i pobiegł wydać rozkazy, żeby ludziom było lepiej i żeby zrobić dużą fabrykę luster, i jeszcze wydał taki rozkaz, że każdy się może przeglądać, ale nie za dużo, bo od tego ludzie tracą rozum.

Pokraka jeszcze parę razy mu się pokazał, a gdy sprawdził, że król rzeczywiście sporządził, powędrował do swoich, by oznajmić, że nastały dobre czasy.

I dzień, kiedy Pokraka po raz pierwszy pokazał się w lustrze, do dziś jest święcony jako Dzień Wielkiego Odbicia, zaś Pokraka i jego potomkowie mają prawo pokazywać się każdemu, kto za długo patrzy w lustro albo jest złym władcą.

Bunt Psztymucla

Psztymucle należą do tak zwanych zwierzątek autotematycznych. Oznacza to, że głównym tematem ich rozmów są zamieszkiwane przez nie auta.

W każdej fabryce doskonale wiedzą, że zanim jeszcze auto zejdzie z taśmy produkcyjnej, już wślizguje się do niego rodzina Psztymucli i chowa się w różnych zakamarkach świeżo wyprodukowanego samochodu.

Zdarza się, że Psztymucle przywiązują się do zamieszkiwanego przez siebie wozu, ale bywa też, że zamieniają się co jakiś czas z inną rodziną. Niezależnie jednak od tego, czy Psztymucle trzymają się jednego miejsca, czy kręcą się z wozu do wozu, bez przerwy rozmawiają o samochodach.

Głędzą i nudzą, bredzą i plotkują, gawędzą, narzekają, opowiadają i wymieniają doświadczenia wyłącznie na ten jeden temat.

A oto jak wygląda typowa rozmowa Psztymucli:

- Cicho, zdaje się, że silnik źle pracuje! - woła tata Psztymucel.

- Cicho, dzieci - strofuje mama.

- Cicho, ty Psztymuclu - mówi mały Psztymucel do brata.

Cała rodzina zaczyna nasłuchiwać, bacznie wpatrzona w tatę.

- Zdawało mi się - decyduje tata - to tylko zmiana biegów.

- Tyle lat tu mieszkasz i jeszcze nie wiesz, kiedy się zmienia biegi - awanturuje się mama.

- Tato - woła najmłodszy synek - co to za marka?

Ojciec wychyla się z samochodu przez rurę wydechową i patrzy w dal za odjeżdżającym w przeciwną stronę wozem.

- To były angielskie Psztymucle - oświadczą z zazdrością - wóz marki „Jagular”.

- „Jagulary” są dobre, prawda? - dopytują się synowie.

- Prawda, prawda - mówi ze złością ojciec i przełączy na akumulator.

- A my się musimy męczyć z tym gruchotem - dokucza tacie mama.

- Cicho! - krzyczy tata - zdaje mi się, że woda kapie z chłodnicy!

- Cicho! - pomaga mu mama.

- Cicho! - szturcha brat brata.

Po dłuższej chwili tata udaje się w kierunku chłodnicy i wraca stamtąd z zatroskaną miną.

- Nie kapie, ale za to chlupie - mówi - chlupie i chlupie.

- Pewnie za mało nalane - pociesza żona.

- Tato! - woła drugi syn - co to za marka?

Więc ojciec znów idzie na koniec rury wydechowej, żeby popatrzeć i dać odpowiedź.

Rozmowy takie prowadzą przez całą podróż, na postoju i w garażu, choć oczywiście są różne odmiany Psztymuclów. Ta rodzina, której rozmowę opisałem, jest najmniej sympatyczna, ale są inne, nieco miłsze, jedne specjalizują się w samochodach rajdowych, inne w ciężarowych, ale łączącą je cechą jest to, że nigdy nie opuszczają swoich aut, chyba że w celu zamiany na inne.

Zdarzyło się jednak w pewnej rodzinie, i to właśnie w takiej tradycyjnej rodzinie, jak opisana przed chwilą, że pewien młody Psztymucel o imieniu Nulek, zamiast zawołać któregoś dnia na widok mijanego samochodu: - Tato, co to za marka? - zawołał:

- Tato, co tam jest za tym samochodem? Ojciec zdziwił się bardzo, ale poszedł popatrzeć, a kiedy wrócił, powiedział:

- Tam jest wielki zbiornik wody. Woda jest potrzebna do chłodnic i do mycia szyb. Cicho, zdaje się, że piszczą opony!

Ale Nulek zamiast nasłuchiwać w skupieniu, sam pobiegł spojrzeć na znajdujące się po przeciwnej stronie szosy jezioro. Patrzył, patrzył, patrzył (w tym czasie reszta rodziny sprawdziła opony i zdążyła się martwić pracą gaźnika, kierownicy oraz prądnicy), patrzył, dopóki nie znikły mu z oczu ostatnie kępy tataraku wokół jeziora.

Od tego dnia zmienił się nie do poznania. Zamiast razem z resztą rodziny interesować się stanem technicznym swojego auta i markami cudzych, zadawał pytania tak odległe od tematu, że ani rodzice, ani rodzeństwo nie potrafili mu odpowiedzieć. Wreszcie zdecydował się na krok, który dla każdego normalnego Psztymucla jest nie do pomyślenia: poprosił rodziców, aby pozwolili mu wsiąść na środku drogi! Wywołało to w nich straszliwe zakłopotanie.

Kiedy wreszcie uwierzyli, że Nulek nie żartuje i że chce ot, tak sobie, powędrować w świat bez samochodu, usiłowali mu wytłumaczyć, że to wstyd przed wszystkimi Psztymuclami. Ale Nulek się uparł, więc co mieli zrobić, pożegnali go ze smutkiem i przerażeniem i pozwolili wsiąść.

Ruszył Nulek w inny, nie automatyczny świat, gdzie wszystko było obce, nowe i nieznane. Zaraz na początku spotkał jadącą na rowerze Brombę, która podrzuciła go kawałek i wskazała krótszą drogę do jeziora. Przez las przeprowadziła go pewna wiewiórka, a dalej szedł już sam, aż doszedł do jeziora, które kiedyś widział z końca rury wydechowej.

Kiedy patrzyło się na nie z bliska - było tak piękne, ciche i spokojne, że Nulek zapragnął zostać tam na zawsze. Zamieszkał na przystani i wysłał pożegnalny list do swego samochodu. List brzmiał tak:

Kochani!

Ten zbiornik wody nazywa się „jezioro”. Dostałem tu auto, które się nazywa „tratwa”. Pracuje ciszej od najcichszego znanego Wern motoru; chociaż jeździ trochę wolniej i odrobinę chlupie. Niczego nie trzeba kontrolować, bo porusza się bez kół, bez kierownicy i bez szosy. Wiem, że Wy lubicie bardzo szybką jazdę, więc nie zapraszam, ale ja chyba tu zostanę.

Wasz kochający syn Nulek

Kiedy mama Nulka przeczytała list, była bardzo wzruszona.

- A widzisz - powiedziała do męża - nasz Nulek też sobie znalazł specjalizację. Może nie rajdową, ale zawsze...

- Cicho! - wrzasnął tata - chyba błotnik się telepie!

Rodzina Psztymuclów nastawiła czujnie uszy.

Glisando

Czy można mieszkać w muzyce? Nie w fortepianie, w skrzypcach, w organkach czy gwizdku, ale w samej muzyce, w dźwiękach, które krążą, w tonach, które dźwięczą, w piosenkach, które brzmią dookoła?

Ryby mieszkają w wodzie, ptaki w powietrzu, bakterie mogą mieszkać w spleśniałym chlebie, Pciuch w czasie, Gźdacz w innym wszechświecie, natomiast Glisando mieszka w muzyce.

Oczywiście nie każdy może zauważyć jego obecność, ale zawsze, kiedy dźwięki podskakują jak płaski kamień umiejętnie rzucony po wodzie, kiedy prześlizgują się jakby na niewidocznych łyżwach, oznacza to, że w środku siedzi Glisando.

Glisando przepada za nurkowaniem i wynurzaniem się z dźwięków, a jego ulubioną zabawą jest wyłapywanie i połykanie dźwięków fałszywych, zanim dotrą one do słuchaczy.

Czasem musi się zdrowo napracować, nim złapie, zatrzyma i połknie fałszywy dźwięk, a zdarza się (gdy fałszywych dźwięków jest za dużo), że wrywają się one jednak i rozbiegają wokół.

Każdy muzyk potrafi zauważyć, jak się miewa jego Glisando. Czasem Glisando jest wypoczęty, pełen zapału i energii i nawet nie ma mowy o tym, aby przepuścić jakiś fałsz, innego zaś dnia rozleniwiony, w ogóle nie dba o porządek w muzyce, a nawet złośliwie przestawia dźwięki, burząc zaplanowany porządek. Zdarza się to rzadko, ale czasem się zdarza.

Glisando nie może mieć, oczywiście, jednej piosenki, w każdą melodię wpisuje sobie swoje własne teksty, znane zresztą każdemu, kto tylko dobrze się wsłucha.

Raz to jest: trą tatata lub: trututu, kiedy indziej: łałała, la la la, bywa też: parura tatata, mtutu, mtutu i jeszcze wiele podobnych cichutkich mrużanek Glisanda.

Pewnego razu Glisando, którego przyjaciele zwali Odiridi Uha, ślizgał się jak zwykle po swojej ulubionej melodii, kiedy zauważył człowieka malującego obraz. Był to wybitny malarz, pan Tempera. Pan Tempera w olbrzymim skupieniu nakładał na rozpięte na płaszczyźnie płótno większe i mniejsze kropki, czerwone i zielone plamki, niebieskie kreski, żółte zygzaki i mrużał do siebie:

- Abstrakcja. Czysta abstrakcja. Zupełna abstrakcja. Jeszcze tutaj położę czarnego kleksa... hmm, tak, abstrakcja...

(Obrazy abstrakcyjne to takie obrazy, na których nie jest namalowane nic, co mogłoby

cokolwiek przypominać. Wydaje się to łatwe, ale wcale tak nie jest).

- Ojej! - przeraził się pan Tempera - ten kleks przypomina żyrafę. Czarna żyrafa - to wprawdzie bardzo ładne, ale przestanę być abstrakcjonistą... muszę natychmiast zamalować żyrafę...

Nabrał żółtej farby i chlapnął na czarną żyrafę.

- Tak... chyba dobrze... ale nie! Teraz to wygląda jak czarno-żółta Bromba! Chlapnę czerwoną farbą... No, chyba już w porządku...

Cofnął się dwa kroki i aż złapał się za głowę.

- Przecież namalowałem czarno-żółto-czerwony tramwaj!

- Odiridi uha! - zaśpiewał cichutko Odiridi.

- A to co? - zdziwił się pan Tempera.

- Tu Glisando, uha! - zaśpiewał Odiridi.

- Ach, Glisando - zorientował się malarz - bardzo mi miło.

- Coś nie idzie, uha? - zapytał Glisando.

- Niestety - powiedział zmartwiony malarz - wszystko, co maluję, przypomina, kształtami jakieś przedmioty, a jako abstrakcjonista nie powinienem do tego dopuścić. Chyba zacznę malować portrety, to o wiele łatwiejsze.

- Mnie namaluj, uha! - zawołał Odiridi.

- Ale przecież ciebie nie można sportretować. Nikt nie wie, jak wyglądasz.

- Ja ci powiem, uha! - zaśpiewał Glisando. - Najpierw żółtą, uha!

Pan Tempera, nie bardzo dowierzając, zanurzył pędzel w żółtej farbie, a Odiridi cały czas dyrygował:

- Długa kreska, uha! Teraz zieleń, uha! Mała kropka, uha!

Pan Tempera i Glisando malowali wspólnie przez całe popołudnie, zanim Odiridi nie stwierdził, że jest zadowolony i że podobieństwo jest uderzające. Malarz oglądał obraz ze wszystkich stron.

- A więc tak wyglądasz... hmm... bardzo ładnie... to mi niczego nie przypomina... czy nie miałbyś nic przeciwko temu, abym twój portret posłał na wystawę? Podpisałbym „Portret Odiridi”.

Na taką propozycję każdy chyba się zgodzi bez wahania. Odiridi nie tylko wyraził zgodę, ale był wyraźnie dumny ze swego portretu. Opowiadał o tym wszystkim znajomym Glisandom, które zaczęły się zgłaszać do pana Tempery, prosząc, aby także im zechciał wykonać podobizny.

Pan Tempera zgadzał się chętnie i w ten sposób powstała wielka wystawa. Przyszli

wszyscy koledzy malarze i zaczęli oglądać prace pana Tempery.

- Dziwne tytuły daje pan Tempera - mówili. - „Parura z rodziną”, „Tipitipitip” i „Hoc Hoc”, „Umfa Umfa zadumany”.

- Dla nas to są raczej obrazy abstrakcyjne! - Mówili to jednak z podziwem, bo obrazy bardzo im się podobały. Przecież mało jest równie pięknych zwierzątek jak młode, zdrowe Glisanda.

Gluś-Filmowiec

Mały Gluś bardzo lubił oglądać telewizję. Dotąd musiał to robić u Kajetana Chrumpsa (który jako rzecznik postępu przywiózł telewizor z jakiejś zagranicznej podróży), ale wreszcie sprowadził sobie aparat do własnej norki na przedmieściu.

Gluś należy do tych niedużych i mało znanych istot, które nie wyróżniają się niczym specjalnym. Prowadzą swoje życie z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, przygotowując zapasy na potem albo zjadając zapasy z przeszłości.

Kiedy ktoś mijał Glusia na drodze, zawsze Gluś pierwszy mówił: Dzień dobry! I każdy uważał, że tak być powinno.

Gluś miał różne interesy oraz ważne dla niego sprawy z różnymi zwierzątkami (kosił na przykład trawę boiska na mecz asiaków z esiakami lub dostarczał Psztymuclom potrzebne narzędzia), ale właściwie był bardzo samotny.

Kajetan Chrumps, choć życzliwie otwierał telewizor i chętnie pomagał w trudniejszych krzyżówkach, zbyt był zajęty naprawdę poważnymi problemami, by okazać Glusowi trochę więcej serdeczności.

Bromba wymierzyła małemu wprawdzie wszystko, co należy, ale miała wiele obowiązków i ciągle podróżowała, więc nie mogło być mowy o częstych przyjacielskich rozmowach. Tylko czasem, kiedy spotykali się na drodze, siadali obok siebie i po jakimś czasie Bromba mówiła refleksyjnie:

- Taaak...

Gluś był wtedy bardzo dumny, że tak poważna osoba snuje przy nim refleksje, i wzdychał ze zrozumieniem. Bromba spoglądała na niego z wdzięcznością, chwilę milczała, a potem dodawała:

- Tak. Tak.

Gluś aż wstrzymywał oddech, żeby dać odczuć Brombie, jak bardzo docenia jej zamyślenie. Bromba podnosiła oczy na bezchmurne niebo, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, co by można zmierzyć, patrzyła posągowa w bezkresny ogrom błękitu długo, długo...

Wreszcie poprawiała torbę, wracała spojrzeniem do znieruchomiłego Glusia i kończyła jakieś rozpoczęte w myślach zdanie:

- Niewątpliwie.

A Mały chrząkał wtedy uszczęśliwiony, starając się nadać temu chrząknięciu

najbardziej odpowiedni charakter, żeby chrząknięcie zawierało w sobie zarówno aprobatę dla tego, co przez cały czas myślała Bromba, jak i podkreślenie faktu, że on, Gluś, zgadza się z przedmówcą, a tylko przez delikatność nie chce tego powtarzać głośno.

O innych znajomych można powiedzieć tylko tyle, że byli dla Glusia uprzejmi i mili, ale że nieczęsto z nim gawędzili po przyjacielsku, choćby dlatego, że nie wiedzieli, o co by zapytać.

Trudno się więc dziwić, że telewizja należała do jego pasji.

Niezwykłe wiadomości o niezwykłych postaciach, filmy seryjne, których bohaterowie dokonywali cudów odwagi, tragedie pełne napięcia i komedie pełne humoru - to wszystko tak różniło się od jego codziennego, szarego życia, że coraz chętniej zasiadał wieczorem w puszystym fotelu i obserwował ekran.

Zaczął też kupować pisma poświęcone zagadnieniom telewizyjnym i filmowym, zbierać zdjęcia aktorów, a w specjalnej ankiecie, którą rozpisal jeden z tygodników, dwa razy bardzo mocno podkreślił czerwonym ołówkiem odpowiedź „Wszystkie programy bardzo mi się podobają”;

Mimo że należał do istot niedużych, miał wielkie marzenie. Marzenia często nie są proporcjonalne do wielkości naturalnej danej osoby i gdyby tak na ulicy obok przechodniów szły ich marzenia, to okazałoby się, że ci, którzy wyhodowali największe, wcale nie należą do wysokich i potężnych.

Gluś marzył o filmie. Nie, nie chciał występować jako aktor (uważał, że jest na to za niski). Nie chciał też być operatorem, czyli tym, który fotografuje wydarzenia na taśmie filmowej przy pomocy kamery.

Pragnął być choć raz jeden, jedyny raz w życiu Reżyserem.

Reżyser - marzył Gluś - może wszystko ustawić, całą historię, całą choćby najniezwyklejszą historię i potem może ją puszczać na projektorze albo w telewizji i to jest Jego Historia, on jest jej głównym autorem... och...

Wspaniałość takiej sytuacji tak go zachwyciła, że aż zapiszczał po cichutku, choć wiedział, jak to nieelegancko.

Ażeby nie trzymać was w niepokoju, powiem od razu, że Gluś zrealizował swoje marzenie. A było to tak:

Pewna znajoma mysz, która pracowała w laboratorium wielkiej Wytwórni Filmowej, załatwiła Małemu wypożyczenie kamery na okres kilku dni. Zresztą zaklinała, że to tylko jeden raz, żeby sobie Mały spróbował. Była zdaje się z nim spokrewniona, a miała złote serce, zwłaszcza dla rodziny.

Głuś oszalał z radości. Wywiesił zaraz wszędzie ogłoszenia:

**Reżyserski film Gluś reżyserować będzie film
na podstawie
własnego scenariusza pt.
„Szeryfie, kładź ogonek na stół”
Prosi się wszystkich
o udzielenie pomocy**

Wprawdzie Bromba i Kajetan Chrumps byli w podróżach, ale wszyscy inni uznali, że jest to sensacja, i radośnie zgłosili swą pomoc.

Fikander (sam Fikander!) spacerował do późnego wieczora z Glusiem omawiając literackie szczegóły scenariusza.

W rezultacie zmieniono tytuł filmu na „Szeryfie, kładź ogonek na stół, także”, a pod spodem ogłoszenia dopisano: konsultacja tekstu Fikander.

Z braku lepszych fachowców posadzono przy kamerze jednego z Psztymucli (z największym trudem przekonano go, że kamera to prawie to samo, co samochód), zaś główne role mieli zagrać Malwinka, młody Fum oraz drozd. Jako pozostali artyści oraz personel techniczny zgłosili się oczywiście: asiaki i esiaki, wiewiórki z parku, zresztą w ogóle każdy, kto mógł.

Głuś w dużych okularach, z lejkiem zamiast tuby przy ustach, wołał:

- Uwaga! Proszę o ciszę! Zaczynamy!

Minęło jednak dużo czasu, zanim zaczęli. Wrony kręciły się i gadały bez przerwy potwornie przeszkadzając, Malwinka zgubiła gdzieś grzebień, a nie chciała wyjść rozczochrana, młody Fum narzekał, że światło razi go w oczy i że w takich warunkach nie będzie pracować, a Psztymucel szarpał za jakiś uchwyt przy kamerze, zupełnie jakby to była skrzynka biegów.

Mimo tych trudności Gluś nakręcił swój film - w ciepłym, wrześnieym słońcu, wśród zieleńiących wzgórz i olbrzymich kudłatych chryzantem, skradał się dzielny szeryf, by w ostatniej chwili wyrwać piękną lady z łap fałszywego drozda. Lecz choć zdążył w porę, rozszalały strumień porwał tratwę wraz z lady, która wyciągała rozpaczliwie ręce do swego zbawcy. Ale wiewiórka, piorąc bieliznę, wyławiła lady i następował szczęśliwy koniec.

Tyle mniej więcej nakręcono w ciągu trzech dni, a potem Gluś oddał kuzynce kamerę i poprosił o wywołanie taśmy.

Nadszedł dzień premiery. Tłumy, które oczekiwały na obejrzenie filmu, nie zmieściłyby się nawet w największej norce, a co dopiero w maleńkiej norce Glusia, ustalono więc, że odbędzie się kilka seansów.

Gluś stał rozgorączkowany przy projektorze zbudowanym z nocnej lampki i kilku wałków - trzymając w ręku pudełko ze świeżo przyslaną taśmą.

Pierwsi goście zajęli miejsca, zgaszono światła i Gluś uruchomił projektor.

Jak by wam to powiedzieć?

Na ekranie nie było nic. Jasna plama drgała rytmicznie, czasem przeniknął jakiś cień, ale widocznie Psztymucel nie zdjął z kamery kapturka zasłaniającego obiektyw, bo cała taśma była równomiernie taka sama, to znaczy czysta i bez obrazu.

Widzowie zaczęli z zaniepokojeniem szeptać coś do siebie. - Nic nie widzę! – wykrzyknął Fum.

- Tu powinno być, jak ty biegniesz - drżącym głosem powiedział Gluś - ostatkiem tchu dopadasz do pelargonii i rzucasz lasso... teraz chwytasz za supeł...

I w ten sposób Gluś opowiedział wszystko, co powinno być, a czego nie było.

Na pierwszych widzów oczekiwała niecierpliwie zgromadzona reszta.

- Jak wypadło, jak wypadło? - zawołał jakiś reporter łapiąc za guzik Fikandra.

- No cóż - zaczął tamten niepewnie - widać pewne niedociągnięcia, brak jest doskonałości technicznej, ale...

- Ale ogólnie, sukces! - dokończył reporter i zniknął w głębi norki odpychając publiczność i kracząc: Prrasa! Prrasa!

Kiedy znów zgasło światło, Gluś rozpoczął wyjaśnienia od samego początku:

„Wielki skalisty kanion. Na dole mała sylwetka dzielnego szeryfa. Śmiałym ruchem sięga po sznur zawieszony przy swoim boku...”

Widzowie drugiego seansu wychodzili z całkiem zadowolonymi minami.

- Więc mnie się to także podoba - oświadczył reporter - może tylko trochę nazbyt literackie, ale teraz taka moda!

Trzeci seans wypadł jeszcze lepiej, a czwarty to już był zupełny triumf. Ci, którzy byli na pierwszym, poszli więc na piąty i zdecydowali, że poprzednio oceniali film zbyt surowo.

- Dopiero jak się lepiej przyjrzeć, widać, że to jednak talent, ten Gluś - powiedział Fikander.

I filmy Glusia stały się bardzo popularne. Oczywiście, rozumiecie, dlaczego filmy? Bo Gluś uszczęśliwiony, że może częściej przyjmować tak dostojnych gości, wymyślał dla swojej taśmy coraz nowe tytuły. Raz był to film „Szczęśliwe zakończenie dalekiej podróży

Gźdacza”, a znowu kiedy indziej „Urok Malwinki” lub „Przeminęło z Pciuchem”.

Glus już wcale nie potrzebował kamery i pomocy całego personelu technicznego. Jedyne, czemu poświęcał sporo czasu, to konsultacje artystyczne u Fikandra.

Ale choć cieszył się z uznania, jakie go spotkało, na co dzień pozostał małomównym, nieśmiałym Glusiem, jakim był dawniej.

Być może wynikało to z faktu, że on jeden naprawdę wiedział, jak bardzo na jego taśmie nic nie nia, a może też i z tego, że tak często zmieniał zakończenia filmów na szczęśliwe.

Zwierzątko mojej Mamy

Właściwie nie wiem, jak się nazywa Zwierzątko mojej Mamy. Miało parę imion, ale bardzo krótką pamięć, dlatego często je zapominało, więc byliśmy zmuszeni ciągle nazywać zwierzątko od nowa. Później przypominało sobie starą nazwę i zapominało nową tak, że zrobił się wśród tych imion okropny bałagan.

Zwierzątko zresztą i tak nie reagowało na żadne nazwy, wrzeszczało zawsze ramionami, prychało i uciekało do jakiegoś kąta.

O ile mogę coś powiedzieć o zwyczajach Fumów i Fikandrów, Bromb i Gźdaczy, Pciuchów i Glisand, o tyle o jego zwyczajach nic nie wiadomo.

Zwierzątko to działało zawsze przez zaskoczenie. Potrafiło nie dawać o sobie znać całymi tygodniami, ale dopiero, kiedy przyszli Ważni Goście, wpadało między szklanki, przewracało dwie, trzy, nadgryzało przez pomyłkę marynarke Ważnego Gościa zamiast ciastka i znikało siejąc popłoch i przerażenie.

W obawie, aby nie spotkało to następnych Ważnych Gości, umawialiśmy się z nimi w kawiarni. No i co powiecie?

Zwierzątko psuło światło w kawiarni, a gościom podstawiało nogę przy wejściu.

Jednak wcale nie zawsze było złośliwe. Kiedyś, dla któregoś Ważnego Gościa, zatańczyło sambę i zagrało na fujarce tak, że wyszedł oczarowany.

W stosunkach z nami było zawsze tak niezrównoważone, że nawet nie potrafię opisać jego wszystkich zachowań. Przez kilka miesięcy robiło na przykład straszliwy bałagan w szufladach. Pinezki wkładało do cukru, ołówki do makaronu, a mąkę mieszało z atramentem, chusteczki do nosa chowało między kartki książki, a pastę do zębów zamieniało z kremem do opalania tak, że mieliśmy opalone zęby i wybielone twarze.

Aż tu któregoś dnia przychodzimy słyszemy już pod drzwiami, jak ktoś sobie gwizdże i podśpiewuje, fałszując okropnie:

Co na dole, to na dole,
co na górze, to na górze.
Lepiej w smole niż w stodole,
lepiej w murze niż na bzdurze!
Co na górze, to na górze,
co na dole, to na dole.

Kształcą książki i podróże,
a najlepiej łąpać mole!

Przekręcamy klucz w zamku... wchodzimy... cisza. Na stole nowa serweta, książki poukładane równiutko, cały dom wymieciony i wysprzątny, aż lśni. Tylko na kloszu od lampy (widocznie dla lepszej dekoracji) wiszą trzy kokardki z mojego pociętego krawata. Specjalnie się tym nie zmartwiliśmy, bo przecież nie musiałem wcale chodzić w krawacie, a radości było co niemiara.

Myślę, że ten bałagan przez parę miesięcy był niezbędny Naszemu Zwierzątku, żebyśmy potem odczuli większą przyjemność.

Ale nie jestem pewny. Tak już jest ze Zwierzątkiem mojej Mamy, że nienawidzi Pewności i nigdy nie daje nam jej odczuć.

Któregoś dnia przyjechało na motocyklu z namiotem i z wędką. Byliśmy oczywiście przekonani, że jutro skoro świt wybierze się na ryby, ale rano okazało się, że z namiotu zrobiło sobie hamak, który zawiesiło nad kuchnią, i przy pomocy wędki wyławia z zupy marchewkę, a motocykl przerobiło na telewizor. Jak to zrobiło, żeby z motocykla był telewizor, nie mam pojęcia, ale był, i nawet z kolorowym programem.

Wspominałem już o tym, że Zwierzątko fałszuje wszystkie piosenki i zawsze, kiedy śpiewa, dba o to, żeby nas zaskoczyć.

Zaczyna na przykład: Zielony mosteczek ugina się... Zielony mosteczek ugina się - każdy wie, że dalej powinno być: trawka na nim rośnie, niesie Kasię - ale nie! Ono musi oczywiście zaśpiewać: ...baloniku mój malutki, rośnij duży, okrągłutki... albo: a ja jestem konwalijka, jaka długa moja szyjka, za mną kwiatki, za mną, hej!... i dokończyć: ...szare, bure obydwaj!

Do domu wraca o najprzeróżniejszych porach, a przyjaźni się ze wszystkimi: z psami, z kotami, ze szpakami, z Brombami, Pciuchami, no, w ogóle ze wszystkimi.

Zdarza się więc, że w środku nocy przyprowadza jakiegoś rozgadanego Fuma i dyskutują na cały głos tak, że przewracamy się na wszystkie strony i zatykamy uszy watą. Ale byłbym niesprawiedliwy, nie wspominając, że dzięki niemu poznałem czarującego Fikandra oraz Kajetana Chrumpsa.

Mógłby ktoś powiedzieć, że to bardzo niedobrze mieć takie nerwowe i zaskakujące zwierzątko - o ile w ogóle można tu użyć słowa: „mieć”, bo właściwie nie wiadomo, czy to my mamy Je, czy Ono ma nas.

A jednak nazywam Je Zwierzątkiem mojej Mamy, ponieważ tak się składa, że we

wszystkie awantury, w które wplątujemy się dzięki Niemu - wplątujemy się razem z Mamą. Kiedy sam idę do banku wpłacić -pieniądze, kupić sobie buty albo spotkać się z kimś i porozmawiać - mogę być prawie zupełnie spokojny, że wszystko przebiegnie zgodnie z planem.

Wystarczy jednak, abyśmy wybrali się razem z Mamą, zaraz przyplątuje się Zwierzątko na trzeciego towarzysza i wtrąca się do każdego interesu.

- Po co pani pracuje w banku? - pyta urzędniczki, która przyjmuje pieniądze. Urzędniczka myli się w liczeniu i odpowiada, że bardzo lubi pracę w banku.

- A nie lepiej polować na aligatory? - pyta nasze Zwierzątko.

Wtedy ta pani przestaje liczyć i patrzy na nas z niepokojeni.

- Psów wprowadzać nie wolno - mówi, choć widzi, że nasze Zwierzątko to nie pies.

- Bardzo słusznie - podchwytuje Zwierzątko - psów i aligatorów wprowadzać nie wolno, tak być powinno. Czy to prawda, że w bankach mają założyc fontanny?

Wycofujemy się przepaszając urzędniczkę i oczywiście nici z wpłacenia.

Jeszcze gorzej bywa, kiedy kupujemy dla mnie buty. Zwierzątko, które uprzednio znikło; jakby zapadło się pod ziemię, teraz wyrasta tuż przy nas.

- Czy nowy but nie pije? - pyta.

- Nie - mówię zgodnie z prawdą.

- Proszę pani - woła do ekspedientki nasze Zwierzątko - ten but nie pije. To bardzo niedobrze. Taki chudy i blady... na pewno też nic nie je i będzie chorował. Czy nie ma pani buta, który by jadł i pił zdrowo? Z takiego zamorka nie będziemy mieli pożytku...

Ekspedientka patrzy zdziwiona na Mamę, a Mama chce coś wytłumaczyć:

- Wie pani - mówi - to jest takie nasze Zwierzątko...

- Jeszcze nie nasze - prostuje Zwierzątko - jeszcze ich nie kupiliśmy, i w ogóle odkąd to buty są zwierzątkami?

Ekspedientka ma zamęt w głowie, więc mówi:

- Nie wiem, o co państwu chodzi. Czy państwo bierzecie te buty, czy nie?

A nasze Zwierzątko do mnie:

- Chyba nie weźmiemy, jak tak zachwalają, to znaczy, że słabo idą. A na co ci buty, które źle chodzą?

- Daj spokój! - mówię - poproszę o tę parę!

A Zwierzątko w krzyk:

- Zwariował! Bierze parę butów! To dwa ci nie wystarczą?

Nawet jeśli wreszcie dokonamy zakupu, to dzieje się to po wielkich trudach i na ogół

kupujemy coś zupełnie zbędnego. Właśnie dzięki naszemu Zwierzątku mamy w domu kilka niepotrzebnych wazoników, mnóstwo maskotek i pocztówek, książkę pod tytułem „ABC młodego pingwinologa” oraz tysiące starych puszek i pudełek.

Zawsze kiedy któryś z nas usiłuje wyrzucić pudełko po czekoladkach, nasze Zwierzątko łapie go za rękę i krzyczy:

- To się może przydać!

- Do czego? - pytamy zrozpaczeni.

- Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć - mówi z powagą Zwierzątko i chowa pudełko pod tapczan. - A jeśli jutro dostaniemy tuzin wyjątkowo ważnych listów, będziemy je mogli schować do tego pudełka...

Oczywiście listy nie nadchodzą, ale pudełko czeka na listy, których nie ma, i w ten sposób jest zajęte.

Kiedy zdarza się, że wreszcie przyjdzie list, Zwierzątko oświadcza:

- A widzicie, mówiłem, że pudełka się przydają. Jaka szkoda, że tamto jest zajęte, a innego nie mamy. Trzeba się koniecznie postarać o jakieś nowe pudełko...

Takie jest Zwierzątko mojej Mamy. Nie opisałem wam jeszcze, jak ono wygląda. No więc jest nieduże i bardzo kudłate. To jedyne, co o nim można powiedzieć, resztę, to znaczy kolory i wielkość, zmienia zależnie od nastroju i samopoczucia, ale domyślcie się zapewne, że w zielonym pokoju ma kolor czerwony, a w czerwonym zielony, choć oczywiście też nie zawsze bo z nim nigdy nie wiadomo nic na pewno. Zawsze jednak jest nieoczekiwane, zaskakujące, niespodziewane, szokujące, dziwne, nietypowe, odmienne i nieprawidłowe.

A pojawiło się u nas pewnego listopadowego smutnego dnia, kiedy akurat uczyliśmy się gramatyki i mieliśmy dosyć wszystkich reguł.

Z tego powodu moglibyśmy oczywiście nazwać Je Wyjątkiem, ale zawołałoby natychmiast:

- Co, ja Wyjątkiem? Jakim znowu Wyjątkiem? Nigdy nie wyję... wilki... wyją... możecie mnie nazwać Śpiewątkiem albo Mówiątkiem. Zresztą, kiedyś już mnie jakoś nazwaliście... Tylko nie pamiętam jak...